

Wieczory teatralne

TRUDNO byłoby podejrzewać dyrektorkę Teatru W. Horzycy w Toruniu, że w swoich zamierzeniach organizacyjnych i artystycznych nie bierze pod uwagę upodobań widzowi. Jest akurat przeciwnie. — Krystyna Meissner złożyła co najmniej kilka deklaracji stworzenia w Toruniu teatru dla ludzi, bliższego życiu, a jednocześnie upodobaniom widzowi. Jednym z najważniejszych bowiem celów, jakie stawia sobie toruńska scena od ubiegłego sezonu, jest przyciągnięcie jak największego grona widzów.

Miały temu służyć frywolności „Opery zebraczej” Johna Gaja, moralne odniesienia do współczesności w „Strachu i nędzy III Rzeszy” Bertholda Brechta, czy wreszcie odpowiedź na zainteresowanie Gombrowiczem (spektakl „Ferdynand”). Jakżeż i w tym duchu nie potraktować „Kartoteki” Tadeusza Różewicza, której ambicją w toruńskim wydaniu było ukazanie wielokrotnie już wystawianej i znanej sztuki, we własnej, oryginalnej koncepcji. Może jedynie „Muchy” według Jeana Paula Sartre’a stały nieco na uboczu teatru dla tak zwanej (oczywiście, źle zwanej) szerokiej widowni.

Natomiast „Balladyna” Juliusza Słowackiego (najnowsza ze sztuk) ma zapewne wszelkie dane, by przyciągnąć tłumy. Utworzą je chociażby uczniowie z Torunia i województwa, którzy z dobrej lub przymuszonej przez szkołę woli, uwolnią się od czytania lektury szkolnej.

Czy jednak inscenizacja Krystyny Meissner, bo ona jest reżyserką spektaklu, może zastąpić lekturę szkolną? Oczywiście nie i takiego celu reżyserka stawiać sobie nie mogła. Fabuła „Balladyny” powszechnie znana, nie jest na tyle atrakcyjna dla współczesnego widza, by zechciał on jeszcze raz poznawać kolejne jej wątki. Do tego dramat ten jest nie byle jakich rozmiarów (największy w twórczości poety), a cała jego powaga i groza w niejednym momencie mogłyby śmieszyć zamiast przerażać.

Krystyna Meissner wybrała więc drogę kompromisu. Postanowiła nie narażać się zbyt mocno autorowi (a najbardziej jego żyjącym obrońcom i miłośnikom), robiąc

spektakl bardzo serio, o scenach poważnych, wrzuszających, a czasami smutnych, Historia sióstr, zbrodnia i cały upadek — jakby się to dziś nazwało — moralny Balladyna, stają się sprawami ważnymi, wobec których widz czuje się zobowiązany do głębokiego, moralnego zastanowienia.

Jednakże widz nie po to do teatru na „Balladynę” przyszedł. Znając poprzednie inscenizacje Krystyny Meissner widownia — zwłaszcza młodzieżowa — oczekiwała „rewolucji”, choćby niewielkiej. Wreszcie nudna lektura szkolna (bo przecież wszystkie są takie) nabierze rumieńców — liczone w duchu. By i temu oczekiwaniu zadość uczynić, reżyserka nadała słowom poety wartości własne, swój sposób myślenia i odbierania dramatu.



W roli Balladyny Jolanta Olszewska, jako Pustelnik — Jacek Opol-ski.

Fot. A. Kamiński

Dla kogo kompromis „Balladyny”?

Z tego wynika i temu miały służyć pewne przedstawienia treściowe, które zapewne biegle wykryją poloniści. Jeśli mieliby reżyserkę za cokolwiek lając, czego — jak wyznała — obawia się, to jedynie za to. Rewolucji bowiem, złamania dotychczasowych reguł i obrazu majestatu nie było. Ci, którzy tego oczekiwali, nazwaliby toruńską „Balladynę” poprawną, czy wręcz „grzeczną”.

Kompromisowa postawa reżyserki sprawiła też zawód miłośnikom tradycji, gdyż oni uznają ją za niepokorną, burzącą wizję Słowackiego od kostiumu aż po tekst. Kostium bowiem ma tu znaczenie oddzielne, w połączeniu z rekwizytami — symboliczne. Jedynie Balladyna i naczelnik straży zamku Kirkora ubrani są w pewnej tradycji historycznej. Walizki, podróżne kufry trzymane przez pojedyncze postacie z gminu, czy wreszcie dzinsy u Kirkora — to kostiumy zgodne ze znaczeniem i duchem tego przedstawienia. Gmin zresztą spełnia w nim rolę szczególną, opowiadając wydarzenia i stając się pomostem łączącym „staroświeckość”, żeby nie powiedzieć „przestarzałość” tego dramatu, ze współczesnością. Robi to również dzięki bardzo udanej muzyce Zbigniewa Karneckiego, na której odśpiewuje swe kwestie.

Urok tej muzyki to obok powściągliwej, ale przez to trafnej scenografii Aleksandry Semenowicz, największe walory przedstawienia. Trafna jest też obsada, w której aktorzy tworzą zgrany zespół indywidualnie demonstrowanych walorów. Wszystko razem podporządkowane jest wiernie i bezwzględnie zamysłowi reżyserki. To jest zresztą atut, który utrzymuje tempo, wymowę, jednolitość stylistyczną tej — jak ją określiła Krystyna Meissner — Balladzie o Balladynie.

Co do kompromisu, który ostatecznie reżyserka wybrała, to prawdą jest, że nie pozwala on wyjść ze spektaklu z uczuciem rozczarowania, ale też żadnego z oczekiwań nie zaspokaja w pełni. No cóż, taka jest już natura kompromisu, że zadowala wszystkich, ale tylko połowicznie, pozostawiając odczucie niedopełnienia...

MARIA KONCZALSKA